

# Andrzej Tyszka

---

## Znamiona redukcjonizmu socjologii kultury

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (53), 113-118

---

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Roztrząsania i rozbiory

## Znamiona redukcjonizmu socjologii kultury.

Charakterystyczną cechą socjologicznego poznania kultury jest dążenie do empirycznych wniosków o niej na podstawie wiedzy na temat *uczestnictwa w kulturze*. W przypadkach mniej korzystnych, lecz praktycznie częstszych, nawet — na podstawie wiedzy na temat „konsumpcji kulturalnej”. Wpływ założeń behawioryzmu, z którego przyjęto aksjomat, że nie ma w kulturze niczego takiego, co nie manifestowałoby się w zachowaniach, jest tutaj bardzo widoczny i istotny.

Do typowych zadań badawczych socjologii kultury należało ustalenie *zasięgu społecznego* zjawisk kulturowych, rozumianych najczęściej jako masowa odbiorczość (np. czytelnictwo gazet, czasopism i książek, uczęszczanie na wszelkiego typu spektakle, indywidualne hobby i szereg różnych innych, szczegółowych manifestacji poddających się zewnętrznej rejestracji).

Innym typowym zagadnieniem było ujawnienie lub ustalenie *składu społecznego* jakiejś publiczności lub jej lokalizacja w strukturze społeczeństwa (np. udział robotników wśród publiczności kina albo utrzymywanie się dystansów społecznych wskutek ekskluzywności elitarnych form uczestnictwa kulturowego).

Empiryczna socjologia zanotowała w tym zakresie tematów swe główne osiągnięcia, a jednocześnie poniosła najdotkliwszą porażkę metodologiczną na tymże polu. Poniosła ją chyba w tym momencie, gdy do badań zastosowała skategoryzowaną ankietę. Sądzę, że był to moment zapomnienia się królowej nauk społecznych, który skazał orzeczenia socjologów kultury na daleko idące spłylenie zagadnień, na kolosalne luki w znajomości materii poznawanej, na nie kontrolowaną produkcję artefaktów i trywializację

wniosków. I byłoby ciekawym zadaniem z historii nauki prześledzić, kto, kiedy i dlaczego pierwszy pozwolił sobie w badaniu empirycznym na potraktowanie kulturowej partycypacji wobec kultury w sposób analogiczny jak stosunek opinii publicznej, czy ściślej — opinii wyborczej do propagandy albo jako stosunek konsumentów wobec rynku.

Krytyka socjologii i socjologicznego sposobu badania kultury sygnalizuje jego kryzys, ale i odnowę. W latach siedemdziesiątych na terenie polskim notujemy odwrót od neopozytywizmu i redukcjonizmu warsztatu poznawczego. Został on zasygnalizowany po raz pierwszy, i po raz pierwszy tak bardzo silnie w 1965 r., w znanym artykule M. Czerwińskiego *Uwagi krytyczne o socjologii kultury* (który miał zresztą i późniejszą wersję). Warto przypomnieć, w syntetycznym skrócie, jak wyglądały wyrażone w nim zastrzeżenia wobec ograniczeń socjologii kultury. Można by przedstawić to stanowisko w czterech tezach, pomijając pewne zagadnienia. *Po pierwsze*: poznanie socjologiczne bardziej dotyczy stosunku do środków komunikowania niż stosunku do treści komunikowanych. Nie wciąga, jak pisze M. Czerwiński, nie angażuje do badania „wiedzy o komunikujących funkcjach przedmiotów kultury”. *Po drugie*: preferując skategoryzowaną ankietę jako główne narzędzie badania, korzysta przeważnie z deklaracji jako podstawowych danych wyjściowych, pozorną precyzją wnioskania nie wyrównuje strat w samych tych danych, które wynikły z preformacji odpowiedzi na pytania ankiety standaryzowanej, z zaprogramowanymi kafeteriami. Ankieta w sposób zbyt sztywny i w zbyt ograniczonych ramach kieruje odpowiedziami respondentów. *Po trzecie*: technika opracowania materiału socjologicznego, polegająca na mnożeniu kwantytatywnych wskaźników, nie wystarcza do rekonstrukcji kompleksowych wzorów kultury ani odpowiadających tym wzorom „kręgów solidarności społecznej”. *I po czwarte* — formalizacja i matematyzacja procedury poznawczej jest pozornym tylko zabiegiem, zastępującym precyzję; w rezultacie liczbowej ścisłości wniosków i ich jednoznaczności kwantyfikacja zostaje opłacona stratami, których problematyka nie tylko nie toleruje, ale od których wręcz ginie, a efekty poznania — jak pisze autor — „jałowiejają epistemologicznie”.

Idąc dalej, za tą krytyką można by wskazać kilka innych uchybień socjologii w jej warsztacie, w takim choćby sensie, w jakim nie wyciąga ona nauk z tego, co odpowiadać jej się zdawało doświadczenie antropologii zarówno w sprawach teorii kultury, jak i warsztatu badawczego.

Sądzę mianowicie, że *związki funkcjonalne* w analizie społeczeństwa i kultury, tak jak traktują je etnologowie — są o wiele istotniejsze niż stosowane najczęściej przez socjologów *klasyfikacje*

według różnic i podobieństw. Ustrukturalizowanie zbiorowości, od małej grupy aż do społeczeństwa globalnego, nie może polegać na rozklasyfikowaniu, według wybranego kryterium, indywidualów składających się na tę zbiorowość. Nie polega ono też na rekonstrukcji wzorów kultury z układu cech pojedynczych ludzi, w tej zbiorowości odwzorowanych w postaci rozkładu zmiennych; ani też na pojmowaniu tej zbiorowości jako ustrukturalizowanej przez proste zastosowanie techniki ich interkorelacji. Podstawowy błąd, jak sądzę, metodologii redukcjonistycznej polega tutaj na traktowaniu na serio *zbiorowości jako populacji*, i tylko populacji, tj. jako zbioru analogicznego do urny wypełnionej kulami czarnymi i białymi. Błąd ten polega na traktowaniu jednostek ludzkich tak, jakby one się nie różniły od siebie, albo różniły się tylko jedną cechą lub, w lepszej sytuacji, gdyby różniły się większym zestawem cech. W ogólności błąd ten polega na rozpatrywaniu różnic i podobieństw poszczególnych osobników, tak jak gdyby stanowiły one w sumie społeczny *zbiór*, a nie *system*. Dostrzega się tutaj na pierwszym planie cechy *atrybutywne*, i wiązki tych cech atrybutywnych, wobec niedostrzegania *związków relacji*. Procedura „pollingowa” ignoruje fakt, że zwłaszcza w kulturze czy społeczeństwie z punktu widzenia kultury najistotniejsze są nie atrybuty, ale relacje między ludźmi w grupach, między ideami w światopoglądach. Ważniejsze są też analizy działań interakcyjnych, a nie statyczna morfologia społeczna. Upatrywanie integracji społeczeństwa np. w wysokim stopniu upodobniania się do siebie osobników jest, jak sądzę, typowym błędem. Dwór i folwark były zbiorowością dobrze zintegrowaną, mimo że dziedzic był w niczym niepodobny do swoich fernali. Przeciwnie, określał się przez opozycję do nich. Grupa kulturowa nie jest więc kategorią podobnych do siebie jednostek, jest nią raczej wspólnota społeczna. Wykrywanie kategorii podobnych do siebie jednostek nie prowadzi do najbardziej istotnych ustaleń kulturoznawczych, jeśli jednocześnie nie potrafimy wskazać ściślej zasady grupotwórczej w postaci zasady integracji działań na gruncie wspólnoty wzorów i wartości.

Naganną cechą socjologii kultury jest segmentacja i separacja zagadnień z jednoczesnym absolutyzowaniem kategoryzacji społecznych; badanie wyodrębnionych faktów i zjawisk kultury bez związku z kontekstem, w którym przecież stale tkwią. Dla przykładu nie jest naganny fakt, że ktoś podejmuje się badać wąski i ułamkowy, względem całej kultury, problem upowszechniania czytelnictwa wśród młodzieży wiejskiej. Naganny, jak sądzę, z punktu widzenia, który zajmuje antropolog, jest fakt, że w badaniu takim powieść funkcjonuje w izolacji od innych gatunków literackich i pozaliterackich i od innych kanałów komunikowania treści literackich, z którymi stykają się czytelnicy, że czytelnictwo, którym cechują się badani, i jego psychospołeczne skutki są pojmowane

w abstrakcji od skutków wszystkich innych form zaangażowania kulturalnego, i że, w końcu, często młodzież wiejską bada się niemal tak, jak gdyby żyła na osobnej planecie, a nie wśród społeczeństwa dzieci, dorosłych i starców.

Inny jeszcze zarzut można by uczynić nie z pozycji antropologa, ale z pozycji socjologa. Dotyczy on konstrukcji pojęciowej „publiczności” lub jej poszczególnych odłamów. Istnienie publiczności rozproszonej, publiczności zatomizowanej jest faktem we współczesnym społeczeństwie. Co czyni w oczach socjologa całość z owej społecznie i przestrzennie rozproszonej kategorii? Otóż całość tę bardzo często montuje sam socjolog w wyniku działań czysto konwencjonalnych. „Publiczność czytelnicza” konstytuuje fakt, że każdy z osobników zaliczanych do niej zadeklarował, w okolicznościach sztucznie stworzonych przez ankietera na polecenie socjologa, że w ciągu dwóch miesięcy, które poprzedzały rozmowę, przeczytał np. co najmniej dwie książki. Ten skonwencjonalizowany i formalny typ kryterium nie liczy się jak gdyby z faktem, że społeczeństwo nie jest zbiorem jednostek na wzór zbioru kul czarnych i białych w głowie statystyka, że przeciwnie, społeczeństwo, o czym nigdy nie zapomnieli antropologowie, jest systemem, w którym mniej ważne wydają się poszczególne zachowania, poszczególne cechy i oderwane indywidualne działania, a najbardziej doniosłe są wielostopniowe zależności i wielostronne relacje międzyosobowe i międzygrupowe. A więc to właśnie, co M. Czerwiński nazywa „kręgami solidarności społecznej” a J. Kmita — „grupą kulturową”, przypisując takiej grupie posługiwanie się jednakowym lub podobnym repertuarem reguł interpretacji humanistycznej. I że — z tego punktu widzenia — wybiera się do czytania różne książki i w różny sposób się je czyta. W sumie — nie liczba przeczytanych książek się liczy, lecz typ odczytania, profil zainteresowań literackich, wpływ lektur na osobowość czytelnika i wpływ określonej kultury literackiej na etos określonej społeczności.

W całym szeregu realizacji badawczych, przyczynków teoretycznych socjologowie i socjologizujący kulturoznawcy w Polsce i gdzie indziej (chciałbym podkreślić, że właśnie w Polsce stało się to faktem w ostatniej dekadzie) kierowali się ogólną dyrektywą zbliżania się do metodologicznych procedur i paradygmatyk wypracowanych w antropologii, które dyfundują również na inne dziedziny poznania humanistycznego i poprzez nie znajdują sobie siedlisko w socjologicznych badaniach kultury.

Wydaje mi się, że można by już określić parę cech warsztatu i cech teorii kultury, które stały się postulatem i faktem na terenie socjologii kultury. A więc, zgoła niejednogłośnie, nastąpiło jednak, zakwestionowanie przyjętego w badaniach milcząco jednostronnego modelu *osobowości reaktywnej* na rzecz *osobowości proaktywnej* uczestnika kultury. Mówienie o osobowości reaktyw-

no-proaktywnej jest może najsluszniejsze, bo gdybyśmy uznali twórczą proaktywność jako jedyną cechę osobowości, to nie potrafilibyśmy ustosunkować się do dominujących w naszej rzeczywistości zagadnień recepcji, zwłaszcza biernego odbioru.

Drugi znamieny fakt to rozpoczynanie analizy kultury od badania *jednostki* w aspekcie jej podmiotowości i jej subiektywności. Wydaje mi się, że w tej sprawie socjologowie idą wyraźnie, przynajmniej niektórzy, za przykładem antropologów. Z dokładnością i precyzją, na jaką można się zdobyć w tej chwili — *skupiają* się w pierwszym rzędzie na jednostce jako niezbywalnym „atomie rzeczywistości społecznej”. Występuje tutaj tendencja do odcho-  
dzenia od próby o charakterze statystycznym, od wielkiej próby, na rzecz badania bardzo niewielkich liczebnie, celowo dobranych zbiorowości, ale za to znacznie dokładniej. Przejście od opisu indywidualium do zbiorowego obrazu faktów i zjawisk kulturalnych jest słabym metodologicznie punktem tych badaczy, którzy budują opis zbiorowości nie w drodze sumowania cech jednostek i nie poprzez obserwację zmienności, a więc nie w drodze matematycznych operacji indukcyjnych, zwłaszcza statystycznych operacji, takich jak korelacja, wariancja, regresja. Zmierzają oni raczej (jest to następna cecha) do budowania modeli strukturalnych lub modeli funkcjonalnych zjawisk kultury w części opartych — przynajmniej — na intuicji. Odejście od ilościowych, zmatematyzowanych form uogólnień danych wyjściowych nie musi przy tym być odejściem od postulatu ścisłości i dokładności. Chodzi tutaj o *inny rodzaj ścisłości*, ścisłości niematematycznej, dokładności, z jaką można budować modele z systemu relacji, a nie zaś, z jaką budowało się orzeczenia probabilistyczne oparte na systemie korelacji czy jeszcze mniej skomplikowanych działaniach matematycznych. Następną konsekwencją obserwowaną w warsztacie socjologów kultury jest przechodzenie na nieco inne niż dotychczas techniki badań empirycznych: na kontrolowany eksperyment w niewielkiej grupie, pogłębiony wywiad, zwłaszcza analizę jego zapisu magnetofonowego, na systematyczną analizę treści autobiografii w miejsce opatrzonej komentarzem prezentacji opasłych zbiorów pamiętników. Rozsądne zastosowanie typowej ankiety socjologicznej wobec statystycznej reprezentacji — mimo świadomości wad tej procedury — nie wydaje się być grzechem niewybaczalnym — pod warunkiem, że nie jest to jedyna technika, jaką dysponujemy. Próbuje się zaangażować także szereg specjalistycznych technik uzupełniających i pomocniczych, jak np. analizę semiotyczną, analizę lingwistyczną, psychologiczną, testy i inne wyspecjalizowane techniki projekcyjne.

W końcu — to jest esencja wszystkich przytoczonych tutaj okoliczności warsztatu socjologicznego — jak sądzę, następuje odejście od *deterministycznego* rozumienia rzeczywistości kulturowej, od ilo-

ściowego wzorca świata i od indukcyjnego modelu wiedzy o tym świecie kultury na rzecz zwrotu ku jakościowym typom analiz, indeterministycznemu, rzadziej probabilistycznemu, a coraz częściej — posybilistycznemu rozumieniu kultury i rzeczywistości kulturalnej.

Andrzej Tyszka

### Tadeusz Kudliński — zapomniany teoretyk symultanizmu

Termin symultaneizm (symultanizm) nie pojawia się w międzywojennych omówieniach twórczości Joyce'a i Dos Passosa. Prawdopodobnie na gruncie polskim pierwszy posłużył się nim Leon Pomirowski omawiając w 1933 r. *Wygnańców Ewy Tadeusza Kudlińskiego*:

„Opis ten, na podobieństwo prób Dos Passosa i Joyce'a, wyraża się w wieloplanowości ujęcia. Chcąc uzmysłowić reakcję otaczającej rzeczywistości na różne odmiany psychiki i losu ludzkiego, Kudliński organizuje jednocześnie («symultaneizm») szereg wątków powieściowych, które wzajemnie się przeplatają, ale z których każdy stanowi w pewnym sensie fabularną całość. Pisarz czyni to z konsekwencją, swobodą narracyjną i tak przenikliwym wyczuciem kontrastu i paralelizmu poszczególnych przeznaczeń, że doprowadza różnorodny chór głosów życiowych do jednolitego brzmienia”<sup>1</sup> (podkr. S.W.).

Kudliński wyznał, że był zaskoczony takim użyciem terminu. Analiza Pomirowskiego skłoniła go do przemyśleń, w wyniku których nie tylko zaakceptował sam termin, ale potraktował symultaneizm jako program literacki, który starał się spopularyzować w artykułach teoretycznych i zrealizować w cyklu powieści historycznych pt. *Rumieńce wolności* (1937) i *Uroki* (1938). Niewątpliwie więc autorowi *Wygnańców Ewy* zawdzięczamy, że termin „symultaneizm” stał się popularny w latach trzydziestych, chociaż używany był prawie wyłącznie w odniesieniu do twórczości tego pisarza (jedynie L. Piwiński użył go w charakterystyce *Grupy...* J. Kurka, a sam Kudliński w recenzji *Pawich piór* L. Kruczkowskiego). Nawet Ignacy Fik, który nie był entuzjastą „eksperymentów technicz-

---

<sup>1</sup> L. Pomirowski: *Nowa literatura w nowej Polsce*. Warszawa 1933, s. 198—199.